

Białczyński, Henryk

Moje spotkanie z Płockiem : (wspomnienie) : w 80 rocznicę urodzin Autora

Notatki Płockie 46/1-186, 20-26

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOJE SPOTKANIE Z PŁOCKIEM (wspomnienie)

W 80 rocznicę urodzin Autora

Moje spotkanie z Płockiem w latach 1960-1965 poprzedzone było długą wędrówką po Polsce czasu PRL: z Krakowa przez Wrocław, Zieloną Górę, Żyrardów, Warszawę i po drodze zbieraniem kwalifikacji, doświadczeń i praktyki zawodowej w handlu, spółdzielczości spożywców i księgarskiej, szkolnictwie zawodowym i radach narodowych, a także działalności społecznej, partyjnej i studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Warszawskim. To były "moje uniwersytety". W tych 25 latach mojego życia o Płocku w ogóle chyba nie słyszałem, ale dziś wydaje mi się, że to była wędrówka do Płocka.

Jedynie w radach narodowych w Żyrardowie, Warszawskiej Radzie Narodowej i w Płocku korzystałem z rekomendacji partyjnej.

Mimo, że byłem już wiceprzewodniczącym na szczeblu wojewódzkim sam spontanicznie wysunąłem moją kandydaturę na Płock - na niższe stanowisko, porwany romantyką wielkiej budowy przemysłu i planowej rozbudowy miasta. Mimo odmowy władz wojewódzkich uporczywie swoją kandydaturę podtrzymywałem. Oczekując na decyzję studiowałem dokumenty Płocka, jego problemy, wyjeżdżałem na oględziny miasta i rozmowy z jego władzami.

W decydujących rozmowach postawiłem jednak warunki:

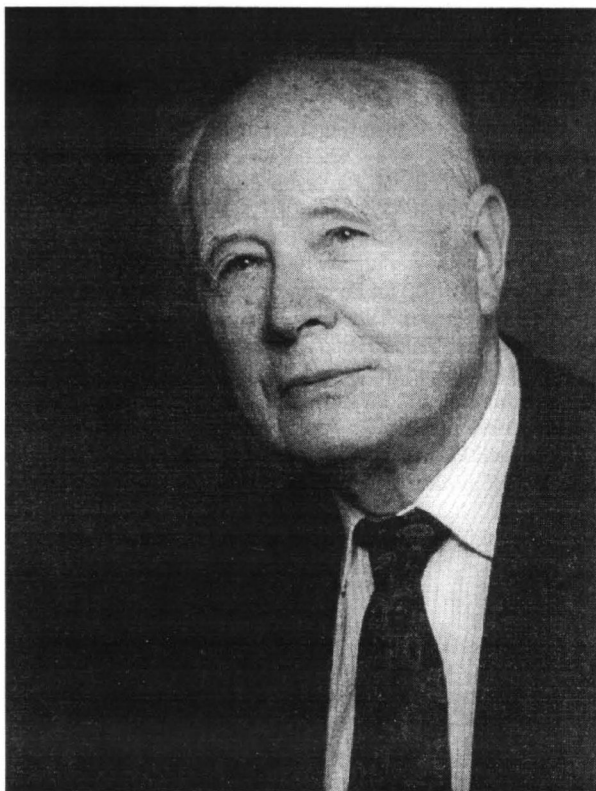
- zgoda na trzy lata do chwili oddania pierwszego etapu kombinatu,
- niezwłoczne poszerzenie granic miasta o teren całego kombinatu,
- powołanie pod moim przewodnictwem zespołu koordynacyjnego pierwszych sekretarzy i przewodniczących Płocka czterech okolicznych powiatów, a także dyrektorów kombinatu i Petrobudowy,
- pozostawienie mnie w składzie jak dochodzącego członka,
- i inne mniej istotne warunki.

Wszystko to było obliczone "strategicznie" na umocnienie pozycji władz Płocka i mojej skuteczności w działaniu: w praktyce bardzo to pomogąło.

"No i tak to się zaczęło" - ta moja płocka najważniejsza w moim życiu zawodowa przygoda.

To był grudzień 1960 r. - i pierwsze moje decyzje nie były na miarę zadań wynikających z uchwały *...* W czasie spaceru po Skarpie dowiedziałem się, że w ubiegłym roku kilkoro dzieciaków utopiło się w czasie ślizgawki po Wiśle - na drugi dzień dałem inspektorom oświaty polecenie, że każda szkoła ma przygotować przed mrozem własne lodowisko.

Gdy zaczęła się wiosna dzieci wyległy na ulice, a ruch samochodowy był już duży - poleciłem przekształ-



Mgr Henryk Białczyński - fotografia z 2000 r.

cić Plac 13 Straconych w teren zabaw: huśtawki, zjeżdżalnie, piaskownice - szkoda że tego nie sfilmowano co się tam działo!

Zapytałem co się dzieje w kulturze, co ludzie robią w soboty i w niedziele? "Kino "Przedwiośnie", telewizja słabo dochodząca i nic więcej". Poprosiłem o pomoc wojewódzki wydział kultury. Przyjechała wielka pianistka Grychotłówna -15-20 osób na widowni oraz wezwana na pomoc kompania wojska z koszar. Za miesiąc przyjechała sławna para baletowa, Bitnerówna i Gruca - to samo.

W małym biurze projektowym na parterze domu, w którym zamieszkałem przy ulicy Grodzkiej, architekt Sęczykowski urządził dla kilkunastu dzieciaków pokaz projektowania (przeszkadzały mi w pracy pukając do okien, rozplaszczając nosy na szybach) i w ich obecności namalował projekt ich podwórka "popatrzcie jak tu może być ładnie". Wszedłem tam zobaczyć co się tam dzieje i to mnie zafascynowało. Zaczęło się uzgadnianie z naszymi fachowcami i poprzez masowe spotkania z mieszkańcami doszło do koncepcji wyburzenia setek obrzydliwych ustępów, śmietników, komórek, łączenia



Początek lat 60. Centrum miasta w pobliżu dworca PKS

sąsiadujących podwórek, porządkowania piwnic, budowy brakujących minimalnych ilości komórek, a potem wprowadzenie do wnętrza wody i kanalizacji, naprawa dachów, rynien, tynków i wreszcie - miasto zabłysło jak w bajce kolorowymi frontonami. Dziś te kolory znikły, ale przełamaliśmy niechlujstwo, a także to doprowadziło do "patronatu" Związku Plastyków na Płockiem. Kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko zainicjował u nas konferencję i pokaz kolorystyki dla wiceprzewodniczących prezydów wszystkich wojewódzkich rad narodowych, odwiedziła nas delegacja francuskiego Związku Plastyków. Naprawdę miasto wypiękniało i ludzie poczuli się na Starym Mieście lepiej.

Ale te działania to był drugi front. Trochę po huncwacku, hobbistycznie, a nawet po amatorsku. Po wyborach do MRN już ruszył front główny - współdziałanie z wojewódzkimi urbanistami przy pracy nad ogólnym planem urbanistycznym obliczonym na 20-30 lat i na około 120 000 mieszkańców. Z naszej inicjatywy Towarzystwo Urbanistów Polskich pod przewodnictwem słynnego (Warszawa-Skopje) architekta Adolfa Ciborowskiego zorganizowało konkurs nad projektem szczegółowym urbanistyki nowego centrum miasta (z naszą dyrektywą, że to nowe centrum ma być organicznie powiązane ze starym centrum). Zaczęło się organizowanie i realizacja naszych uprawnień koordynacyjnych wobec nie podporządkowanych radom narodowym podmiotom tj. nie tylko kombinatu, ale wszystkich fabryk, wszystkich sektorów. Ciągłe wyjazdy do uzgodnień w zjednoczeniach i resortach, do biur projektowych i dyrekcji przedsiębiorstw

budowlanych. Powołaliśmy własną niezależną od władz wojewódzkich Miejską Dyрекcję Budowy Osiedli - bardzo dobry okazał się powołany przez nas dyrektor - inż. Zbigniew Sobczyk, który "ostrogi zdobywał" w warszawskim Biurze Odbudowy Stolicy; skupieni tam fachowcy pomagali też w tej modernizacji.

Z przypadku powstała koncepcja rozgraniczenia funkcji rady miejskiej i komitetu partii. Na pierwszym posiedzeniu komitetu miejskiego ktoś się wyrwał (widać było od lat taka praktyka): zobowiążcie towarzysza Białczyńskiego żeby przydzielił mieszkanie bardzo zasłużonemu towarzyszowi XY. Ja na to: "Droży Towarzysze - to jest nieporozumienie, to byłoby bezprawne, bo to do was nie należy, to są uprawnienia władzy miejskiej, ja nie będę takich dyrektyw realizował!". No - proszę sobie wyobrazić co się działo, jak protestowano na taką moją niesubordynację - za rok przerodziło się to w spiszek aby mnie i sekretarza Maćkowiaka (który uznał moje stanowisko) nie wybierać do władz partyjnych. Rzeczywiście Maćkowiak przepadł w głosowaniu, a ja nie dopuściłem do głosowania nad moją kandydaturą i pozostałem na dalsze trzy i pół roku poza składem komitetu i to było rewelacją. Jednak z problemem trzeba było coś zrobić, trzeba było jasno określić rozgraniczenie funkcji. Zaproponowałem żeby ustalić system: my opracowujemy projekt systemu działania MRN w głównych, wiodących dziedzinach, przedkładamy do opinii na posiedzenia egzekutywy i po ewentualnych poprawkach na Sesję MRN i to obowiązuje. Komitet nie ingeruje później, nie ma prawa zaleceń w

sprawach szczegółowych i indywidualnych - tylko przygląda się i może krytykować. Tak powstały kolejno projekty zasad polityki zatrudnieniowej, mieszkaniowej, oświatowej, kulturalnej i chyba coś jeszcze. Obie strony naprawdę tego przestrzegały.

Jednak tzw. starzy towarzysze nie przepuścili - trafiali do komitetu wojewódzkiego i zaczęły się wędrówki instruktorów KW w indywidualnych sprawach i pytania, długie dyskusje. Napisałem do I sekretarza KW Marianna Jaworskiego dość bezczelną prośbę aby nie dopuszczał do takiej praktyki bo nie mamy czasu na jałowe delegacje, a jeśli nie ma do mnie zaufania to niech przyśle kogoś lepszego na moje miejsce - ja zrezygnuję. To pomogło - skończyła się i ta ścieżka, choć zdrażnienia zostały w aparacie miejskim i wojewódzkim.

Jednakże dalsze stosunki z I sekretarzem Jaworskim były życzliwe. Wezwał mnie kiedyś "Towarzyszu Przewodniczący - wy macie tak wiele zalet, ale macie jedną wadę: czasem denerwujecie się, krzyczycie na pracowników, nawet wyrzucacie za drzwi - ale komuś kto ma tyle zalet czy można mieć za złe jedną wadę?" Ja na to: "Towarzyszu sekretarzu ja wiem o tej wadzie i walczę z nią, ale czasem nerwy puszczają. Pocięszam się tym, że był ktoś taki kto się denerwował na zło, krzyczał na przekupniów w świątyni, bił ich powrozem i rozpędzał - to Chrystus i wiecie - minęło 2000 lat i nikt tego mu nie brał za złe - bo on miał rację". Po chwili milczenia Jaworski powstał, podał mi rękę i z uśmiechem powiedział "no to nie mamy sobie już nic do powiedzenia". I dalej była życzliwość.

Rzeczywiście, wyprosiłem jednego z kierowników wydziałów, dałem mu kilka złotych żeby poszedł do fryzjera bo przyszedł nie ogolony, nie ostrzyżony i z długimi, brudnymi paznokciami: zresztą szybko znalazł sobie inną pracę.

Z Wojewódzką Radą Narodową też były kłopoty. Po tzw. ciężkiej zimie i 3 latach nieurodzaju - zdaje się w roku 1962 zaczęło się skreślanie z plany inwestycji - m.in. naszego szpitala. Po bezskutecznych interwencjach złożyłem w piśmie formalną "abdykację" z argumentem, że szpitala Płock nie obsłuży szybko rosnącej ludności, a w pobliżu nie ma silnych szpitali. Skreślenia za niechano, zadowolono się tylko wydłużeniem cyklu budowy i rezygnacją wycofałem.

Po takich moich licznych "ekscesach", a także nadmiernej samodzielności w działaniu oczywiście powstały "haki", zdrażnienia i to się nawarstwiało; z zadowoleniem kwitowano efekty naszej pracy, ale "haki" odnotowywano, na później. Nasza pospieszna, często nerwowa działalność była konieczna ale ryzykowna.

Na przykład nie wiem skąd, ale w ciągu nocy Płock był poinformowany o moim ostrym spięciu z I sekretarzem KC PZPR Gomułką na krajowej naradzie przewodniczących. Przy wielkim aplauzie około 500 uczestników ostro wystąpiłem popierając wnioski poprzednich dyskutantów w sprawie pozorowanej decentralizacji i konieczności pokrywania z wypracowanych nadwyżek budżetowych kosztów leków, które kalkulowane były notorycznie zbyt nisko i co tego dołączyłem parę spraw Płocka. Towarzysz Gomułka ostro zareagował, że moje "wystąpienie było partykularne, demagogiczne i niesłuszne".

Moi zastępcy na drugi dzień rano zdziwili się że wróciłem do pracy, a na trzeci dzień jakaś kobiecina na lustrowanych przeze mnie podwórkach zaczęła mnie: "to Pan jeszcze tu - miało już Pana nie być - widzi Pan my wiemy, że trudno Panu bo ludzie są źli a Pan jeden". Ale po tej konferencji oddał mi sprawiedliwość I sekretarz KW PZPR Jaworski. Przyjechał do Płocka z sekretarzem KC - Zambrowskim w innych sprawach, ale wstąpili do mnie i Jaworski omówił naszą pracę - m.in. pomoc dla kombinatu, przypomniał moją scysję z Gomułką i zakończył: "ale towarzyszu Zambrowski - moim zdaniem towarzysz przewodniczący miał rację".

Chyba m.in. z takich metod działania, których objawy docierały do szerokich kręgów ludności, z badania ankietowego znanego profesora socjologii Zygmunta Baumana (w ramach Komitetu Badań Rejonów Uprzemysłowanych PAN) na pytanie "kto rządzi Płockiem?" padła krótka i jednoznaczna odpowiedź: "Białczyński". Oczywiście był to skrót myślowy, ankietowani mieli na myśli Miejską Radę Narodową i całe jej kierownictwo, a ja byłem jej symbolem. Chodzi o to, że nie partia a Rada i nie Warszawa a sam Płock.

Tak samo jednoznacznie ludzie mieli zaufanie do naszej uczciwości i bezinteresowności; charakterystyczne, że do nikogo z naszej trójki nikt przez prawie pięć lat nie odważył się wystąpić z propozycją "kopertową" lub jakąkolwiek rekompensatą za przysługę. Zresztą na początku zaproponowałem, że ponieważ ja jestem spoza Płocka to kiedy do moich zastępców będą się zwracać koledzy, sąsiedzi i krewni z prośbami poparcia, to oni będą ich odsyłać do mnie aby nie stwarzać pozorów i plotek.

Władze wojewódzkie i centralne interesowały się głównie budową kombinatu, w czasie spotkań dopiero na końcu, jakby już na stojąco pytano o budowę mieszkań. O realizację obiektów miejskich musieliśmy zabiegać sami, czasem przy wsparciu dyrektora Nowaka z MZRIp, choć staraliśmy się nie dopuszczać do wyręczania nas.

Zrobiłem sobie "wycieczkę" do paru innych miast budujących w tym czasie kombinaty np. Konin, Lubin, Tarnobrzeg, Turoszów. Stwierdziłem, że te miasta - niewydzielone, ich powiaty i władze wojewódzkie działały odwrotnie, zrzuciły wszystkie zadania rozbudowy swych miast na służby kombinatów. Zorganizowaliśmy więc "I Krajową Radę Miast Uprzemysłowanych" z udziałem wicepremiera Zenona Nowaka i ministra Ja-



Dyrektor Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych - Paweł Nowak

nusza Wieczorka oraz - szefa Zespołu Planowania Terenowego Wincentego Kawalca. Delegaci tych miast nie mieli właściwie nic do powiedzenia, ale my im przekazaliśmy nasze systemowe doświadczenia

Przede wszystkim przekazaliśmy doświadczenia z praktycznego wdrażania modnych wówczas "funkcji koordynacyjnych rad narodowych wobec jednostek im niepodporządkowanych". To u nas oznaczało nie tylko wdrożenie tych funkcji wobec kombinatu i Petrobudowy, ale wobec wszystkich innych należących do zjednoczeń, central i resortów, które były realizowane u nas. Rozumieliśmy, że każda ich inwestycja będzie służyć miastu więc wielkim nakładem pracy pomagaliśmy w ich realizacji, które byłyby mniej sprawne wobec konkurencji inwestycji kombinatu. Oni to też rozumieli, często prosili nas o poparcie, pilnie uczestniczyli w comiesięcznych inspekcjach ich placów budów i pod moim przewodnictwem w naradach koordynacyjnych. Ponadto z naszej inicjatywy proponowaliśmy budowę - często pozaplanową - resortowych obiektów. Z kombinatem tak jak z partią, uzgadnialiśmy ściśle rozgraniczenie funkcji - nie dopuszczaliśmy do wyłączenia nas, ani do wtrącania się w nasze działania. Spotykaliśmy się co tydzień w czwórkę - z naszym I sekretarzem Maćkowiakiem, dyrektorem kombinatu i Petrobudowy na wymianę uwag, informacji, ewentualnie uzgadnialiśmy stanowisko w kolizjach lub zazębiających się sprawach. Wyjątek zrobiłem dla budowy hotelu "Petropol" - zostawiając to zadanie kombinatowi ze względu na brak u nas fachowców od hotelarstwa.



Dyrektor PBP "Petrobudowa" - Antoni Rogucki



Przewodniczący Prezydium MRN Henryk Białczyński na spotkaniu z załogą "Petrobudowy" w 1961 r.

Ale zapobiegłem przydzieleniu kombinatowi 70 autobusów na dowóz pracowników - minister Gospodarki Komunalnej Sroka zmienił przydział na nas i tak powstało Miejskie Przedsiębiorstwo Autobusowe.

Przy takich zasadach nie było łatwo sam na sam z potężnymi władzami centralnymi i wojewódzkimi, które na innych terenach lekcewały władze lokalne, a u nas były często petentem.

Tak samo trudna była modernizacja starej zabudowy, a była konieczna gdyż zanim inwestycje zaczęły dawać pierwsze efekty do Płocka napłynęły tysiące nowych, stałych i dojeżdżających pracowników z rodzinami i bez, nowo zatrudniani chłoporobotnicy, którzy kierowali chmary chorych dzieci i starców - różnych domowników do służby zdrowia, do sklepów i usług. Uruchomiona została prawdziwa batalia, aby sprostać ich potrzebom.

Jednocześnie z zęło się zamieszkiwanie nowych bloków - a nie można było przecież wszystkich przenieść "Na Kolegialną" - zaczęła się powiększać przepaść między mieszkańcami starej i nowej zabudowy. W domach Starego Miasta po prostu wstyd było mieszkać. Mimo więc tego, że na modernizację nie mieliśmy żadnych specjalnych środków, tylko prawie to samo co w ubiegłym czasie, tyle co Pruszków, Żyrardów lub Siedlce musiała ruszyć modernizacja. Nasze własne środki wspomagaliśmy ostrą likwidacją zaległości podatkowych, czasem coś wyprosiliśmy u urzędników wojewódzkich z resztek niewykorzystanych środków innych miast i powiatów, ale głównie z przegrupowania przeznaczenia funduszy i skupienia ich głównie na

modernizację. Mistrzem w tej dziedzinie był nasz Kierownik Wydziału Finansowego Józef Dzierżęcki.

Zaczął się wyburzanie obrzydliwych ustępów, rozwalających się drewnianych śmietników i odrażających komórek, łączenie sąsiadujących podwórek, weryfikacja bezprawnie zajmowanych piwnic. Do oględzin zaprosiłem około 30 architektów z innych powiatów i miast wojewódzkich - ale nasz architekt miejski nie potrafił ich pracy należycie wykorzystać, robota szła dość chaotycznie. Mimo tego wprowadziliśmy do dziesiątek domów kanalizację, wodociągi i (czasem) wspólne, czasem indywidualne ustępy. Zweryfikowane piwnice wchłonęły częściowo wyburzane komórki, a niezaspokojone tą drogą potrzeby wspomagaliśmy prefabrykowaniem nowych komórek. Dalej szła naprawa dachów, rynien, tynków i wreszcie kolorystyka frontonów już w trzecim roku, tj. parę miesięcy przed uruchomieniem I etapu kombinatu.

I tu katastrofa! Nie można malować frontonów, bo pozyskani prywatni wykonawcy nie mieli według przepisów BHP stalowych rusztowań, tylko żerdzie i deski. Wezwałem ich: "będziecie spadać? Ale gdzie - Panie Przewodniczący - my zwyczajni! "Więc róbcie - mój ojciec na takich żerdziach tynkował znacznie wyższe domy! - ale, ale, wszyscy mają mieć badania lekarskie tzw. wysokościowe i codzienne kontrole antyalkoholowe", a ja własnoręcznie podpisałem na dokumencie, że skutki wszystkich wypadków z tego powodu biorę na swoją odpowiedzialność!

Serdecznie mnie rozbawiło, że gdy uporządkowaliśmy nędzarską zabudowę na Rybakach i plastycy przestali przyjeżdżać do Płocka "na plenery"! Przestali kochać płockie plenery.

W lipcu 1963 r. frontony lśniły jak w bajce. Wiem, że już ich nie ma, bo zagrzybione i wilgotne ściany pokryły się tzw. "purchlami", ale nikt nas nie pouczył. Głównie Jakub Chojnacki sterował modernizacją, ale czy dalibyśmy radę bez doświadczonego kierownika wydziału Marszałka, bez Nowakowskiego, Plisa?

Przy sposobności Chojnacki rozkręcił akcję czynów społecznych wspomagających modernizację - z przedsięwzięciami płockimi manifestacyjnie podpisaliśmy na Sesji MRN "Umowy o czyny społeczne dla miasta".

W starej sieci handlowo-gastronomiczno-usługowej zwiększaliśmy przepustowość, włączaliśmy w nią nowe nieznanne w Płocku placówki - Składnicę Harcerską, Dom Mody, Salon fryzjersko-kosmetyczny, sklep drzewny, klub młodzieżowy "MARABUT" itd. Z biur Wydziału Finansowego powstał w ciągu 2 miesięcy Hotel Miejski na około 100 miejsc. Powstały nowe jezdnie i chodniki, nowe zieleńce m.in. na zaniedbanym Kostrogaju, ciągi spacerowe na Skarpie, kawiarenki w spichrzach itd.

Dziś z perspektywy emeryckiej, zawodowej bezczynności trudno jest przypomnieć sobie jak mieściliśmy się w czasie, bo przecież każda - zdawałoby się drobna - ale nowa sprawa była merytorycznie załatwiana bądź to kolegialnie na Sesji, na Prezydium lub u poszczególnych członków Prezydium - były dyskusje, scysje a nawet kłótnie. Po wypracowaniu decyzji najczęściej z udziałem partnerów z zewnątrz, koszty rosły. My nie zadowolając się zadaniami planowymi lub wynikającymi z przepisów, sami

wymyślaliśmy coraz to nowe i sami je uruchamialiśmy metodą "ręcznego sterowania".

Wtargnęliśmy dosłownie wszędzie, w każdy płocki zakamarek. Na przykład gdy mi kolega Marszałek zameldował o wykonaniu uporządkowania wszystkich grobów pod opieką państwa zapytałem go pozornie surowo "chyba coś Pan ukrywa - a groby Krzywoustego i Hermana uporządkowane?". Złapał się za głowę, przyprowadził księdza dziekana Wyczałkowskiego, a ten ze śmiechem do mnie: "Panie Przewodniczący - osiemset lat nikt z władz się nie upomniał i trzeba było dopiero Pana?". Uzgodniliśmy - te dwa grobowce w katedrze zostały w 3-4 dni odświeżone, wyczyszczone i oświetlone reflektorami. Natomiast w tym samym dniu Franciszek Dorobek widząc moje zainteresowanie grobnictwem zawiązał mnie czarną "Wolgą" na kurhan młodzieży - ofiar obrony Płocka z 1920 r. Na widok pasących się kóz na kurhanie, całkowitego zaniedbania i zapomnienia o tej zbiorowej mogile - strasznie wymyślając na to niedbalstwo oświadczyłem Dorobkowi - "od jutra zrobimy z tym porządek". Dorobek usiłował mnie powstrzymać: "nie narażaj się - co na to Rosjanie powiedzą?". Obruszyłem się "co nas oni obchodzą - tu leżą nasi ludzie, bohaterowie, jeszcze na pewno żyją ich krewni i przyjaciele".

Nie wiem jak - widocznie wieczorem Dorobek uruchomił jakieś podskórne sprężyny, bo nazajutrz o godz. 8 rano czekała na mnie delegacja Cechu Rzemiosł Różnych z deklaracją, że Cech prosi o pozwolenie uporządkowania kurhanu ich siłami i funduszami. Zgodziłem się pod warunkiem, że to nie będzie "amatorszczyzna" i rzeczywiście pięknie zrobili - kopiec został na nowo ukształtowany, były bariereki, lampiony, na szczycie chyba Krzyż Wirtuti Militarii (a nie harcerska lilijka jak ktoś pisał w jednej z gazet - śladów harcerskiej opieki tam nie było. Gdy odwiedziłem kurhan w czasie pobytu w Płocku na pogrzebie Dorobka - zastałem tam ponownie zaniedbanie miejsce).

Faktem jest, że prowokowaliśmy kogo się dało, aby nam przekazywali informacje gdzie i co trzeba uporządkować - radnych, dyrektorów zakładów, naszych współpracowników. Na przykład nakazałem inspektorowi oświaty aby w szkołach podstawowych polecił wykonać "klasówkę" na temat "co bym zrobił gdybym był przewodniczącym prezydium MRN?". Przyszło kilkadziesiąt wypracowań, nasi koledzy w biurze zrobili zestawienie i rozpatrywaliśmy je na posiedzeniu.

Było dużo śmiechu, dużo dziecięcej fantazji np. "wybudowałbym stupiętrowy dom", ale też kilkanaście dzieci postuluwało - tak jak dzisiejszy Pan Prezydent i inni moi rozmówcy - budowę nowego mostu na Wiśle.

Wiem, że ja opuszczałem niedzielne wyjazdy do rodziny, wtorkowe posiedzenia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, posiedzenia redakcji miesięcznika "Gospodarka i Administracja Terenowa", złożyłem rezygnację z funkcji członka Komitetu Drobnej Wytwórczości, z funkcji członka Prezydium Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy (byłem tam od lat razem z księdzem Wyczałkowskim pod przewodnictwem Ministra MON - Spsychalskiego).

Władze centralne niewiele pomagały w naszej działalności modernizacyjnej, ale bardzo nas angażowały w swoją działalność, gdyż Płock był w tym czasie punktem docelowym wielu delegacji zagranicznych i krajowych nawet najwyższego szczebla, a każda taka delegacja to dzień stracony dla paru osób od nas.

Polecono nam np. przymusowo osiedlić w Płocku znajdujący się na naszym terenie kilkudziesięciosobowy wędrowny obóz cygański. Zrobiliśmy to tak dobrze, że przyjechał do nas z uznaniem wiceminister spraw wewnętrznych Sznek, a ja musiałem zdawać relację w specjalnej audycji telewizyjnej.

Muszę też wyznać, że ten wymyślony przeze mnie "Zespół Koordynacyjny Płocka i czterech powiatów" niewiele zrobił, bardzo słabo działał - ja nie miałem po prostu czasu.

Wracając do wcześniej wspomnianych działań przedkładanych na posiedzenia egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR i sesje MRN trzeba wspomnieć, że w ich treści kierowali się bezdyskusyjną zasadą, że na budowie kombinatu obok efektów ogólnokrajowych - efekty bezpośrednio musi odczuć rodzima ludność Płocka. Dlatego położyliśmy rękę na mieszkaniach MZRiP i Petrobudowy, których kierownictwa nie odmawiało uzgadniania z nami swych list przydziałowych, często wspomagały nas ze swojej puli i chętnie korzystały z naszych starań o zatrudnianie u nich fachowców ze starych zakładów, kobiet niezatrudnionych a wykształconych i wychowujących małe dzieci (automatycznie otrzymywały miejsce w żłobkach i przedszkolach).

Zainicjowaliśmy naukę gotowania dla chłopców w szkołach, aby stopniowo odciążać pracujące kobiety od zajęć domowych. Wieści o naszych poczynaniach w zakresie aktywizacji kobiet doszły do Zarządu Głównego Ligi Kobiet, który mnie zaprosił na posiedzenie abym członkinie z ZG LK poinformował co i jak robimy dla nich (m.in. rozważyły powołanie mnie na honorowego członka Ligi Kobiet).

Urządziliśmy też spotkanie płockiej młodzieży, która kształciła się w wyższych uczelniach w całej Polsce z dyrekcją MZRiP agitując za przyjęciem tam pracy.

Trzeba jednak stwierdzić, że koledze Dorobkowi który nadzorował politykę zatrudnienia wiele pomagał inspirując Pan Antoni Rajkiewicz (wówczas jeszcze nie był profesorem), który uznał Płock za swój poligon doświadczalny.

Osobną epopeją, której głównym bohaterem (obok innych działań) był Jakub Chojnacki była polityka mieszkaniowa. Zaczęła się weryfikacja tysięcy podań o mieszkania naskładanych chyba bez rozpatrywania od 20 lat! Jakub zapoznał się z moim doświadczeniem wcześniejszym o parę lat w Żyrardowie, gdzie zrobiłem wielki porządek, znacznie rozwinął i udoskonalił zasady i działania żyrardowskie i jak to on z fanatycznym zapałem i uporem je realizował. Setki najuboższych rodzin z najpodlejszych pseudomieszkań awansowało do nowoczesnych mieszkań - wcale nie spodziewając się tego szczęścia.

Przeżyliśmy masowe i publiczne dyskusje weryfikujące potem dziesiątki posiedzeń komisji, z żelazną kon-

sekwencją likwidowaliśmy zamieszkałe strychy, przybudówki, piwnice, sutereny, baraki aby już nigdy nie było takich zdarzeń (mówił o tym nauczyciel na spotkaniu ze mną w początku roku 1961), że "właśnie dziś w piwnicy domu XY umiera na gruźlicę młoda nauczycielka, której rodzinę do tej piwnicy wtoczyli niemieccy okupanci". Rzeczywiście umarła.

Ale były i takie przeżycia jak to gdy w ramach przyjęć obywateli przyszedł do mnie robotnik - mechanik z jakiegoś zakładu ceramicznego i gdy go ofuknąłem po co mi czas zabiera skoro otrzymał przydział na komfortowe mieszkanie, 3 pokoje z kuchnią, wzruszony, ledwie mogąc mówić wyznał "musiałem przyjść aby upewnić siebie i rodzinę, że to prawda". Okazało się, że 15 lat wcześniej złożył podanie, bo się ożenił i po paru latach odmowy już przestał się upominać i mieszkał ze stopniowo powiększającą się rodziną - z żoną i czworgiem dzieci w byłej sieni 3m x 5m, na piętrowych łózkach z żelaznym piecykiem.

Ta realizacja "zasad polityki mieszkaniowej" moim zdaniem powinna być trwale wpisana i nie zapomniana w historii Płocka jako jej ważny element.

Polityka oświaty i kultury równoległe do zatrudnienia - oraz dalsze opracowania "Zasad" powinna być wpisana głównie na chwałę skromnego, a gorliwego i niezwykle utalentowanego znawcę i organizatora Franciszka Dorobka - zapalonego działacza tych dziedzin, o horyzontach umysłowych w dużej skali. On mnie molestował o budowę przekaznika telewizyjnego, o zorganizowanie w Płocku pierwszej filii uniwersytetu - ja go skierowałem w stronę Uniwersytetu Łódzkiego (oba wałem się, że Uniwersytet Warszawski nie będzie się przejmował Płockiem), zabiegał o powstanie teatru i filharmonii. Niestety - poza Milke i Sołtysiakiem (importowanymi z wojewódzkiego wydziału kultury) nie miał on godnych siebie partnerów w tym co najtrudniejsze, w dziedzinie kultury. Osobistym trudem osiągnął kolejne, incydentalne sukcesy, które jednak w sumie dźwignęły i tę dziedzinę. Nagle jego staraniem Filharmonia Narodowa podpisała z nami umowę o patronacie nad Płockiem, to samo Zarząd Główny Związku Plastyków Polskich. Muzeum Płockie wyrzuciło na śmietnik swój eksponat - wypchanego, śmierdzącego jesiotra a organizowało jedną po drugiej - według mojej koncepcji wystawy wypożyczone z najlepszych polskich muzeów (curiosum - MHD na moje polecenie finansował wydawnictwa Muzeum!), masowo w szkołach i placówkach kultury uczciliśmy dorobek i śmierć Broniewskiego, urządziliśmy pierwszy w roku 1961 obrzęd wianków na Wiśle (stąd koncepcja budowy i lokalizacji amfiteatru - architekci chcieli pod Podolszycami) na 8 marca urządziliśmy bezpłatne przedstawienie Teatru Ziemi Mazowieckiej - jeden z dramatów Szekspira dla kobiet zatrudnionych w przedsiębiorstwach i zakładach podporządkowanych naszej MRN (jak rozpocząły i szlochały przejęte tym przedstawieniem) itd. itd.

Opactwo, a właściwie ruiny opactwa, to był nasz wspólny temat - wykwaterowanie kilkudziesięciu rodzin, obserwowanie odbudowy i nadzór realizacji, plany i marzenia jak je wykorzystać. Przyjęta była moja wizja je-

dynego w Polsce muzeum zabawek (widziałem takie w Turynii) chociaż Minister Kultury i Sztuki zgodził się na osadzenie w Płocku Muzeum Etnograficznego z Warszawy, które wtedy nie miało siedziby (nie zdążył bo go odwołano ze stanowiska). Dla mnie dalszy los Muzeum był zaskoczeniem - nie wiem skąd i po co wyskoczyła secesja - choć urządzono ją wspaniale, to jednak jak Muzeum potem mogło przejść w ręce Kościoła gdy państwo wniosło je na nowo z gruzów? I co z nim będzie dalej?

Moje propozycje były inne - zwiedziłem Muzeum Diecezjalne i mając wizję wspaniałego Płocka, uderzony ubóstwem zbiorów tego Muzeum zaprosiłem księdza doktora Grabowskiego proponując rozważenie wzbogacaniem go cennymi zabytkami znajdującymi się w kościołach Mazowsza, a my przekażemy na poszerzenie Muzeum opróżniony z mieszkańców "Dom pod Trąbami" - oferta nie została przyjęta.

Kościoły płockie były przez nas nie tyle wspierane co aktywizowane - np. co do remontów nasze poparcie o dotacje wojewódzkie (sylwetki kościołów oświetlaliśmy reflektorami ze Skarpy), życzliwie i pozytywnie załatwialiśmy zgłaszane przez proboszczów sprawy np. interweniowałem o anulowanie niesłusznie naliczanych kwot w Ministerstwie Finansów i spotykaliśmy się przyjaźnie.

Na tym można by skończyć tę nostalgiczną opowieść o moim spotkaniu z Płockiem. Wszystko to urzędowym językiem opisaliśmy w obszernym sprawozdaniu z kadencji MRN z lat 1961-1964. Zostało ono uzupełnione wstępem współdziałających z nami wicepremiera prof. dr. Stefana Ignara, ministra Przemysłu Chemicznego Antoniego Radlińskiego, prof. dr. Antoniego Rajkiewicza, dr. Adama Ginsberta i płockiego pośła, prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego mgr. Tadeusza Gierzyńskiego.

W tych notatkach usiłuję - metodą "na wrywki" zaprezentować - w miarę możliwości - ówczesne wydarzenia w życiu miasta oraz styl i metody pracy kierownictwa Miejskiej Rady Narodowej.

Wydaje mi się, że ówczesne władze miejskie naprawdę w swej skali i zakresie działania (trochę wyprzedzając czas) wcielały w życie zasady "socjalizmu z ludzką twarzą" w warunkach prawnych nie dostosowanych do potrzeb naszych, a także ogólnych potrzeb władz terenowych.

Często działaliśmy więc na granicy legalności usprawiedliwiając to wobec radnych i pracowników tezą, że "socjalizm nie jest po to żeby nie można było robić tego co ludziom jest potrzebne", że każde spostrzeżenie musi być przeobrażone w skuteczne działanie.

Bez tej wiary, podbudowanej entuzjazmem, żarliwością i osobistym poświęceniem a także uporem na pewno wielu osiągniętych efektów by nie było.

Melchior Wańkowicz - gdy przyleciał (to był samolotowy zjazd dziennikarzy) do Płocka zaciągnął mnie do kącika i agitował: "Co Pan robi, Pan wierzy w socjalizm, to jest sprzeczne z naturą, społeczeństwo reaguje jak przyroda - żadna roślina nie wytrzyma jeśli się nie chce ją zasilać planowo przez rurkę". Nie przekonał mnie i do dziś wierzę w socjalizm, w jego rozwój i przeobrażenia jak i rośliny się poddały np. w zielonej rewolucji ratującej od głodu miliony ludzi w Azji i Afryce i teraz poddają się nawet genetycznym przeobrażeniom.

Nie miał racji i nie miał wizji przyszłości świata "człowiek innej wiary".

Tak więc "Moje spotkanie z Płockiem" trwało nie trzy a cztery i pół roku i dla mnie okazało się nie epizodem lecz spełnieniem tego, do czego chyba byłem stworzony.

Prof. Rajkiewicz mówił mi, że sukces naszej trójki w Płocku był efektem tego że pracowaliśmy w najlepszym dla mężczyzny wieku 40-50 lat, a ja myślę mówiąc za siebie że dlatego, że ten rodzaj działania i ta skala była mi zapisana w genach i dlatego przez całe życie dążyłem do celu, który nazywa się PŁOCK.

"Odszedłem bom musiał, bo los mnie tak goni, że muszę wieść życie cygana" (modna kiedyś piosenka) bo niezależnie od zobowiązań rodzinnych nadszedłby dzień w którym płoczcianie skazaliby mnie na ten los, który spotkał 25 byłych przewodniczących i sekretarzy w Płocku (teraz już chyba więcej), którzy pod odwołaniu ze stanowisk zostali rozmieszczeni w różnych płockich zakładach na różnych stanowiskach.

To jest pewne - nasza gra była jednak ryzykowna mimo uznania efektów i zasług.

Jednak plotką jest że to PARTIA mnie usunęła - nieprawda - do ostatniej chwili zobowiązywano mnie abym został jeszcze choćby 2-3 lata, a szykany zaczęły się dopiero po odejściu za nie posłuchanie tej dyrektywy.

W każdym razie szkoda, że ani w lipcu 1963 r. (I etap rozwoju kombinatu), ani w 1965 r. "nie starczyło" odznaczeń państwowych dla nikogo z rady miejskiej. Odznaczeń mamy dość, ale za wcześniejsze i późniejsze działania, a dla mnie rekompensatą jest MEDAL PŁOCK - wręczony mi w dniu 25 października 2000 r. przez obecne władze miejskie Płocka; ale przecież najbardziej trafne w naszych życiorysach byłoby - przynajmniej dla mnie odznaczenie właśnie za to!

Przed wszystkim jednak szkoda "socjalizmu z ludzką twarzą" - to nie socjalizm sam się skończył i nie my - ludzie PRL poderwaliśmy w Polsce jego fundamenty!

"A SĄD ZOSTAWMY WIEKOM".